Gazeta dla Kobiet

Miesięcznik ilustrowany

Rok XXVIII Wrzesień 1936 Nr. 9





W kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej

Błogosław, Matko, naszej polskiej ziemi,
Tej przebogatej w nieszczęścia i łzy
O, chroń jej dzieci, idąc razem z niemi
Przez wichry, burze i przez ciemne mgły.

Błogosław cichej pracy nad ugorem,
By go nie zabrał obcy, wrogi lud —
Nad naszą chatą i tym czarnym borem
Wyciągnij ręce, a zmaleje trud.

Niech ci, co ciszy, ukojenia pragną,
Zobaczą innych, lepszych czasów blask,
Niech nigdy burze czoła ich nie nagną,
Królowo święta, rozdawczyni łask!

Błogosław mężów, którzy silnie bronią
Ojczystej wiary i ojczystych słów,
Co wśród nieszczęścia zwątpień łez nie ronią,
A gdy upadną — powstawają znów.

Błogosław dalej i te łany żytnie,
Mogiły, sioła, cały polski kraj;
Niech w wszystkich naszych strzechach znów zakwitnie
Ten stary, cudny wielkich ojców maj.

JEDNOŚĆ, KTÓRA DAJE SIŁĘ I MOC...

W tym roku na Zielone Święta byłam w Rzymie.

Jako przedstawicielka Katolickiego Związku Kobiet, należałam do delegacji polskiej na Zjeździe przedstawicieli Związków Akcji Katolickiej z całego świata. Przybyliśmy, aby złożyć hołd Ojcu św. w 80-ą rocznicę Jego urodzin.

Ojciec św. Pius XI, zwany jest „Papieżem Akcji Katolickiej“, — bo szczególnie umiłował to dzieło. Toteż postanowiono na uroczysty dzień Jego urodzin zwołać nasz Zjazd, abyśmy Mu złożyli życzenia w imieniu tej grupy członków Kościoła, którzy w szeregach Akcji Katolickiej pracują nad szerzeniem Królestwa Chrystusowego na ziemi.

Niezapomniane przeżywaliśmy chwile. Najuroczystszą była ta, gdy zebrani w koło Namiestnika Chrystusowego — po życzeniach, które w naszym imieniu złożył Ks. Arcybiskup Pizzardo — słuchaliśmy z zapartym oddechem długiej, blisko godzinę trwającej mowy Ojca św.

Papież rozpoczął swe przemówienie bardzo serdecznie. Wyraził swą radość, że widzi zgromadzonych „wybranych przedstawicieli wszystkich tych najmilszych spośród umiłowanych... którzy rozwijają swą gorliwą działalność w Akcji Katolickiej“. (A więc „najmilszymi z umiłowanych“ są dla Papieża wszyscy członkowie Akcji Katolickiej.)

Mowa Ojca św. zawierała szereg wskazań*), wśród tych najsilniej wzywał Papież do jedności, **„gdyż jedność daje siłę i moc“.**

„Jedność ta, mówił dalej Ojciec św., **powinna być święta, na podobieństwo jedności Bożej,** i taką jest ona w istocie, w pragnieniu i w modlitwie Jezusa Chrystusa, naszego Króla...

*) W numerze 7—8 Zjednoczenia, na str. 111—112 podałyśmy mowę Ojca św. w skróceniu.

Wszyscy ci, co walczą pod sztandarami Akcji Katolickiej, **zjednoczeni są ze sobą w Sercu Chrystusowym**; złączeni są przez swych wodzów, to znaczy przez Biskupów i Kapłanów, mianowicie przez tych, co w różnej mierze i w różnym stopniu są uczestnikami urzędu apostolskiego. **Jedność w miłości, jedność w myślach, jedność w działaniu, jedność w świętej karności.“**

Jedność Kościoła katolickiego uwidocznia się w Rzymie na każdym kroku.

Bierzemy udział w uroczystej Mszy św. w Bazylice św. Piotra. Katolicy z kilkudziesięciu krajów całego świata otaczamy stojący w pośrodku ołtarz. Odnawia się tu ta sama Jedna Jedyna Święta Ofiara, w której tyle razy uczestniczyliśmy każdy na innym krańcu świata. I tu na ołtarzu w Bazylice św. Piotra, Chrystus się za nas ofiarowuje. **On nas jednoczy.** On żyje w każdym z nas!...

Wpośród nas klęczy Papież, który władzą daną mu z nieba utrzymuje nas w jedności.

Idziemy do Katakumb. Klęczymy na grobach świętych różnych wieków. Stoimy u stóp krzyża w Koloseum, gdzie w początkach Kościoła poniosły męczeństwo tysiące chrześcijan. Czujemy się z nimi zjednoczeni. I tu i tam widzimy jedność: jedność sprawy, której służyli chrześcijanie dawnych czasów i której my dziś służymy.

Odnajdujemy jedność wiary zarówno w starych księgach i rękopisach, przechowywanych w bibliotekach, jak i w dzisiejszych pismach wyłożonych na imponującej Wystawie Prasy katolickiej na Watykanie.

Jedność myśli i ducha przebija w dziełach sztuki i pomnikach, podziwiamy je w muzeach i oglądamy w czasie naszych wędrówek po Wiecznym Mieście.

Ale przede wszystkim odczuwamy tę jedność, spotykając się na Zjeździe i rozmawiając z delegatami Akcji Katolickiej innych krajów. Pozornie różnimy się między sobą zewnętrznymi zwyczajami i językiem, ale łatwo się rozumiemy, — bo jeden mamy język duchowy i jeden obyczaj nam wspólny: język miłości i czyn miłości. Rozumiemy się wszyscy doskonale — bo łączy nas przede wszystkim jedność wiary, jedność idei i jedność miłości!

— — — — — — — — — — —

Podobnym obrazem jedności w Kościele katolickim jak ten, który przesunął mi się przed oczyma w tegoroczne Zielone Świątki w Rzymie, jest obecna pielgrzymka naszego Związku do Częstochowy.



Dyrektorka Katolickiego Związku Kobiet p. Janina Strawińska u stóp krzyża w Koloseum.

Jedziemy tam ze wszystkich stron Polski. Ktoś obcy, przyglądając się nam wysiadającym z 40-u różnych pociągów, kobietom różniącym się akcentem mowy, ubiorem, wykształceniem, wiekiem, mógłby pomyśleć, żeśmy sobie obce i dalekie. — O jakżeżby się mylił!

Nie znamy się wszystkie z nazwisk, to prawda, nie widziałyśmy się dotąd i może niewszystkie znów się spotkamy. Ale czy to nam przeszkadza, byśmy się czuły jednym?...

O nie!

My wszystkie jedno jesteśmy!

Przybywamy od stóp Karpat i z brzegów Bałtyku, z nad Wisły, Dniestru, Warty i Niemna, z miast i ze wsi, z pałaców i chat, oderwałyśmy się od pracy w polu i w biurze, wyszłyśmy z fabryki i ze szkoły, by razem złożyć hołd Jednej Królowej Polski, Matce Jedynej Boga naszego.

I jedna nas myśl jednoczy: Chcemy służyć i służymy jednej, wielkiej, świętej sprawie — zszeregowane w jednej organizacji Akcji Katolickiej.

J e d e n   w s p ó l n y   m a m y   s k a r b: Chrystusa żyjącego przez łaskę w naszych duszach.

J e d e n   m a m y   w   ż y c i u   c e l: Szerzyć Królestwo Chrystusowe w koło siebie, a zwłaszcza w duszach nam powierzonych.

Niech to wspólne nasze spotkanie u stóp Marii Częstochowskiej, będzie wyrazem tej spójni, która nas łączy w jedności poleconej nam przez Piusa XI:

Jedność w miłości: w miłości Boga i Marii, w miłości wzajemnej siostrzanej członkiń Akcji Katolickiej, i miłości dusz, które do Boga mamy przyprowadzić.

Jedność w myślach: w wierze i poglądach.

Jedność w działaniu: w ramach Akcji Katolickiej.

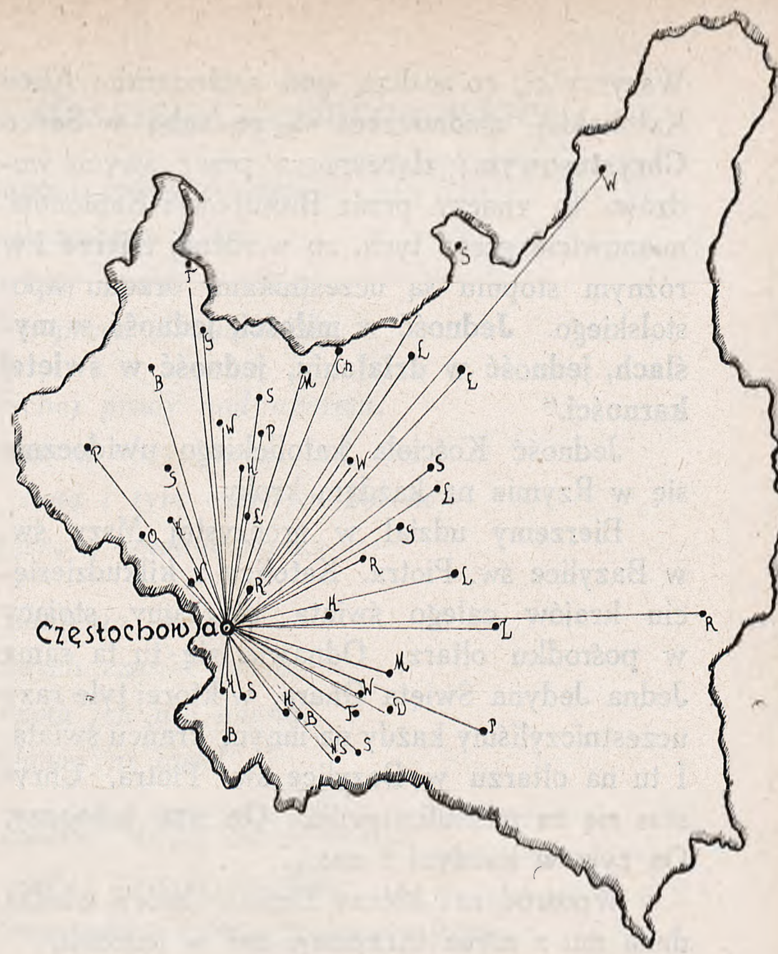
Jedność w świętej karności: w posłuszeństwie naszym Biskupom, kapłanom i władzom Związku.

Jedność, która daje siłę i moc!

Jedność święta na podobieństwo jedności Bożej!

Jedność, o którą modlił się Chrystus po Ostatniej Wieczerzy: „aby byli jedno, jako i my jedno jesteśmy" (Jan XVII 22).

Janina Strawińska.



41 linii na mapie oznacza 41 pociągów, które w dniach 26 i 27 września powiozą członkinie Katolickich Stowarzyszeń Kobiet do Częstochowy. — Podług początkowych liter odnaleźć można miasta, z których wyruszą pociągi popularne. — Prenumeratorki Gazety dla Kobiet któreby nadesłały do 20 września br. nazwy tych miast i umieściły je na pięknie wyrysowanej mapie mogą wziąć udział w konkursie. — Z pomiędzy nadesłanych prac Redakcja Gazety dla Kobiet wybierze trzy najlepsze i przyzna ich autorkom jako nagrodę: bilet do Częstochowy w pielgrzymce 26 i 27 września.

UCZMY SIĘ PIELĘGNIARSTWA

Wiemy już jak przygotować łóżko choremu, wiemy jak go odżywiać i jak dbać o jego spokój; to jest prawie połowa leczenia. Ale leczenie domowe nie ogranicza się do tego. Każda kobieta w razie choroby w domu, stara się zastąpić lekarza i póki nie widzi niebezpieczeństwa, leczy chorego „po domowemu". Trudno nawet w lekkiej chorobie bez porady lekarza mieć pewność, że się choremu pomoże. Niestety, często zdarza się, że i choroby ciężkie leczy się w domu i dopiero zbliżająca się śmierć zmusza rodzinę do wezwania pomocy lekarskiej. I jadą jedne konie po lekarza, a drugie po księdza. Czasy są ciężkie i każdemu dziś trudno o gotówkę, ale na zdrowiu nigdy nie można oszczędzać. A choćbyśmy nawet chcieli jakoś tanim sposobem wyleczyć chorego, to nam się najczęściej nie uda, i zamiast kilku złotych na lekarza i lekarstwo w początkach choroby, wydamy setki na leczenie szpitalne, gdy z chorym jest już źle. To też musimy być **ostrożni i nie przedłużać leczenia domowego.** Kiedy koniecznie należy wezwać lekarza? Jeżeli zajdzie wypadek **nagłego zachorowania;** to znaczy, jeżeli ktoś dotychczas zdrów, dostanie wysokiej gorączki (38 albo 39 stopni), jeżeli dostanie nagłych wymiotów np. zrana, na czczo, jeśli zobaczymy na ciele jakąś wysypkę, lub czerwone plamy, jeżeli chory dostanie boleści zwłaszcza z wymiotami i jeżeli te boleści są po prawej stronie brzucha (podejrzenie o atak ślepej kiszki), jeżeli ktoś dostanie nagłej duszności i sinicy na twarzy, wreszcie w razie zjawienia się drgawek lub „kurczów" — w każdym z wyżej wymienionych wypadków należy bezzwłocznie wezwać lekarza. Poza tym, musimy udać się do lekarza, gdy niema groźnych oznak choroby, ale **gdy jakieś, niby lekkie, objawy trwają przez dłuższy czas.** Na przykład ktoś ma od kilku tygodni codziennie wieczorem niewielką gorączkę — 37 stopni i 5 czy 6 kresek. Niby to nic groźnego, ale ten stan — to mogą być objawy rozwijających się suchot. Ktoś inny zauważył, że od pewnego czasu miewa zawroty głowy przy wchodzeniu na schody, ktoś inny ma lekkie, ale długo trwające krwawienia, matka zauważyła, że dziecko codziennie jest senne, „pokłada" się, nie ma ochoty do jedzenia itd. w tych wypadkach tylko lekarz może rozpoznać zaczynającą się chorobę i przepisać odpowiednie leczenie. W końcu trzeba nadmienić, że lekarz jest konieczny we wszystkich cięższych nagłych wypadkach jak: oparzenie, zatrucie, krwotok z rany, złamanie kości i inne. Cóż więc zostaje do leczenia domowego, jakie i kiedy zabiegi może wykonywać opieka domowa? **Leczenie domowe powinno się ograniczyć do pomocy przed przybyciem lekarza, do leczenia lekkich krótkotrwałych chorób i do wykonywania zabiegów zaleconych przez lekarza.**

(Dalszy ciąg na str. 106.)

KOŚCIÓŁ JASNOGÓRSKI

Zaledwie pierwszy brzask rozpraszał ciemności; dzień zapowiadał się pogodnię; chmury pozbijały się w długie taśmy i pasma na zachodzie, ale wschód był czysty; na bladnącym zwolna niebie migotały niepoprzesłaniane oparami gwiazdy. Kmicic zbudził ludzi, sam przybrał się w świąteczne suknie, bo nadchodziła właśnie niedziela, i ruszyli w drogę.

Po złej i bezsennej nocy, był Kmicic znużony na ciele i duszy.

Ani ów ranek jesienny, blady, ale rzeźwy, szronisty i pogodny, nie mógł rozproszyć smutku, gniotącego serce rycerza. Nadzieja wypaliła się w nim do ostatniego źdźba i zgasła jak lampa, w której oliwy zabrakło. Co mu przyniesie ten dzień? Nic! te same smutki, to samo utrapienie, prędzej przyrzuci ciężaru na duszę, z pewnością nie ujmie.

Jechał więc w milczeniu, utkwiwszy oczy w jakiś punkt, bardzo błyszczący na widnokręgu. Konie parskały na pogodę; ludzie poczęli śpiewać sennymi głosami jutrznię.

Tymczasem rozwidniało się coraz bardziej niebo z bladego stawało się zielone i złote, a ów punkt na widnokręgu począł tak błyszczeć, że oczy mrużyły się od tego blasku.

Ludzie przestali śpiewać i wszyscy patrzyli w tamtę stronę, wreszcie Soroka rzekł:

— Dziwo czy co?... Toć tam zachód, a jakby słońce wschodziło?

Istotnie owo światło rosło w oczach, z punktu uczyniło się kołem, z koła koliskiem — z dala rzekłbyś, że ktoś zawiesił nad ziemią olbrzymią gwiazdę, siejącą blaski niezmierne.

Kmicic i jego ludzie patrzyli ze zdumieniem na owo zjawisko świetliste, drgające, promienne, nie wiedząc, co mają przed oczyma.

Wtem od Kruszyny chłop nadjechał w drabinkach. Kmicic zwróciwszy się ku niemu, ujrzał, iż chłop czapkę trzymał w ręku i patrząc w owo świało, modlił się.

— Chłopie — spytał pan Andrzej — a co się tak świeci?

— Kościół Jasnogórski! — odrzekł kmieć.

— Chwała Najświętszej Pannie! — zakrzyknął Kmicic i czapkę zdjął z głowy, za nim uczynili toż samo jego ludzie.

Po tylu dniach zmartwień, zwątpienia i zawodów, uczuł nagle pan Andrzej, że staje się z nim coś dziwnego. Ledwie słowa: „Kościół Jasnogórski!" przebrzmiały mu w uszach, gdy smutek opadł z niego, jakoby kto ręką odjął.

Ogarnęła rycerza jakaś niewypowiedziana bojaźń, pełna czci, ale zarazem nieznana radość wielka, błoga. Od tego kościoła, jarzącego się na wysokości w pierwszych promieniach słońca, biła nadzieja, której pan Kmicic dawno nie zaznał, otucha, której napróżno szukał, siła niepokonana, na której chciał się oprzeć. Wstąpiło weń jakoby nowe życie i poczęło krążyć po żyłach wraz ze krwią. Odetchnął tak głęboko, jak chory, budzący się z gorączki, z nieprzytomności.



A kościół lśnił coraz bardziej, jakby wszystko światło słoneczne w siebie zabrał. Cała kraina leżała u jego stóp, a on patrzył na nią z wysokości, rzekłbyś: stróż jej i opiekun.

Kmicic długo oczu nie mógł oderwać od tego światła i nasycał i koił się jego widokiem. Ludzie jego mieli twarze poważne i przejęte obawą.

Wtem odgłos dzwonu rozległ się w cichym rannym powietrzu.

— Z koni! — Zawołał pan Andrzej.

Zeskoczyli wszyscy z kulbak i klęknąwszy na drodze, rozpoczęli litanię. Kmicic ją odmawiał, a żołnierze odpowiadali chórem. Nadjechały przez ten czas nowe wozy; chłopi widząc modlących się na drodze ludzi, przyłączyli się do nich i coraz większa czyniła się gromada.

Gdy wreszcie skończono modlitwy, powstał pan Andrzej, a za nim i jego ludzie, lecz szli już dalej piechotą, prowadząc konie za uzdy śpiewając: „Witajcie jasne podwoje".

Pan Andrzej szedł tak rzeźwy, jakby skrzydła miał u ramion. W skrętach drogi, kościół to niknął, to ukazywał się na przemian. Gdy przesłoniły go wyniosłości lub parowy, zdawało się Kmicicowi, że ciemność świat ogarnia, lecz gdy znowu rozbłyskał, wówczas rozpromieniały się wszystkie twarze.

Tak szli długo. Kościół, klasztor i otaczające go mury widniały coraz wyraźniej, stawały się coraz wspanialsze. Dojrzeli wreszcie i miasto w dali, a pod górą całe szeregi domów i chat, które przy ogromie kościelnym wydawały się tak małe, jako gniazda ptasie.

Była to niedziela, więc gdy słońce wybiło się już dobrze w górę, droga zaroiła się wozami i pieszym ludem, ciągnącym na nabożeństwo. Z wysokich wież poczęły huczeć dzwony większe i mniejsze, napełniając powietrze wspaniałym dźwiękiem Była w tym widoku i w tych głosach spiżowych jakaś potęga, jakiś niezmierny majestat, a zarazem i spokój. Ten szmat ziemi u stóp Jasnej Góry wcale był niepodobny do reszty kraju.

Tłumy ludu czerniały naokół murów kościelnych. Pod górą stały setki wozów, bryczek, kolasek, bied: gwar ludzki mieszał się ze rżeniem koni poprzywiązywanych do palików. Dalej na prawo, wedle głównej drogi, prowadzącej na górę widać było całe szeregi straganów, w których sprzedawano wota metalowe i woskowe, świece i obrazy, szkaplerze. Fala ludzka płynęła wszędy swobodnie.

Od bramy fortecznej chłopi i szlachta, mieszczanie z różnych okolic, ludzie wszelkiego wieku, obojej płci i wszystkich stanów, czołgali się ku kościołowi na kolanach, śpiewając pieśni pobożne. Płynęła ta rzeka

bardzo wolno i bieg jej zatrzymywał się co chwila, gdy ciała zbiły się zbyt ciasno. Chorągwie wiały nad nią na kształt tęczy. Chwilami pieśni milkły i tłumy poczynały odmawiać litanię, a wówczas grzmot słów rozlegał się z jednego końca w drugi. Między pieśnią a pieśnią, między litanią a litanią, tłumy milkły i biły czołem w ziemię lub rzucały się krzyżem; słychać było tylko głosy błagalne i przeraźliwe żebraków, którzy siedząc po dwóch brzegach rzeki ludzkiej, odsłaniali na widok publiczny swe skaleczałe członki. Wycie ich mieszało się z brzękiem grosiwa wrzucanego do blaszanych i drewnianych mis. I znowu rzeka głów toczyła się dalej i znowu brzmiały pieśni.

W miarę jak fala zbliżała się do drzwi kościoła, zapał wzrastał i zmieniał się w uniesienie. Widziałeś ręce wyciągnięte ku niebu, oczy wzniesione, twarze blade ze wzruszenia lub rozpalone modlitwą.

Różnice stanu znikły: chłopskie sukmany zmieszały się z kontuszami, żołnierskie kolety z żółtemi kapotami mieszczan.

We drzwiach kościoła ścisk powiększył się jeszcze. Ciała ludzkie utworzyły już nie rzekę, ale most, tak zbity, iż możnaby było przejść po głowach, ramionach, nie dotknąwszy stopę ziemi. Piersiom brakło oddechu, ciałom przestrzeni, lecz duch, który je ożywiał, dawał im żelazną odporność. Każdy się modlił, nikt nie myślał o niczem innem; każdy dźwigał na sobie tłok i ciężar całej tej masy, lecz nikt nie upadał i popychany przez tysiące, czuł w sobie siłę za tysiąc i z tą siłą parł naprzód, pogrążon w modlitwie, w upojeniu, w egzaltacji.

Kmicic, czołgający się ze swymi ludźmi w pierwszych szeregach, dostał się wraz z pierwszymi do kościoła, potem prąd wniósł go do cudownej kaplicy, gdzie tłumy rzuciły się na twarz, płacząc, obejmując rękoma posadzkę i całując ją z uniesieniem. Tak czynił i pan Andrzej, a gdy wreszcie ośmielił się podnieść głowę, uczucie rozkoszy, szczęścia i zarazem śmiertelnej obawy, odjęło mu prawie przytomność.

W kaplicy panował mrok czerwony, którego nie rozpraszały zupełnie płomyki świec, jarzących się przed ołtarzem. Barwne światła wpadały także przez szyby i wszystkie one blaski czerwone, fioletowe, złote, ogniste, drgały na ścianach, ślizgały się po rzeźbach, załamaniach, przedzierały się w zaciemnione głębie, wydobywając na jaw jakieś niewyraźne przedmioty, pogrążone jakoby we śnie. Tajemnicze połyski rozbiegały się i skupiały z mrokiem tak nieznacznie, że nikła wszelka różnica między światłem a cieniem. Świece na ołtarzu miały glorie złote. Dymy z kadzielnic tworzyły mgłę purpurową; biały ornat zakonnika, odprawiającego ofiarę, grał przyćmionymi kolorami tęczy. Wszystko tu było pół widne, pół przesłonięte, nieziemskie: blaski nieziemskie, mroki nieziemskie — tajemnicze, uroczyste, błogosławione, przepełnione modlitwą, adoracją, świętością...

Z głównej nawy kościoła dochodził szum zmieszany głosów ludzkich, jak ogromny szum morza, a tu panowała cisza głęboka, przerywana tylko głosem zakonnika, śpiewającego wotywę.

Obraz jeszcze był przysłonięty, więc oczekiwanie tłumiło dech w piersiach. Widać tylko było oczy wpatrzone w jedną stronę, nieruchome twarze, jakoby już z ziemskim życiem rozbratane, ręce złożone przed ustami, jak u aniołów na obrazach.

Śpiewowi zakonnika wtórowały organy, wydając tony łagodne a słodkie, płynące jakoby z fletni zaziemskich. Chwilami zdawały się one sączyć jak woda w źródle, to znów padały ciche a gęste, jak rzęsisty deszcz majowy.

Wtem huknął grzmot trąb i kotłów — dreszcz przebiegł serca.

Zasłona obrazu rozsunęła się w dwie strony i potok brylantowego światła lunął z góry na pobożnych.

Jęki, płacz i krzyki rozległy się w kaplicy.

„*Salve Regina!* — zawrzasła szlachta — *monstra te esse matrem!*“ — a chłopi wołali: „Panienko Najświętsza! Panno złota! Królowo anielska! ratuj, wspomóż, pociesz, zmiłuj się nad nami!“

I długo brzmiały te krzyki wraz ze szlochaniem niewiast, ze skargami nieszczęśliwych, z prośbami o cud chorych lub kalek.

Z Kmicica dusza nieomal wyszła; czuł tylko, że ma przed sobą niezmierność, której nie pojmie i nie ogarnie, a wobec której wszystko niknie. Czemże były zwątpienia wobec tej ufności, której cała istność nie mogła pomieścić; czem niedola wobec tej pociechy; czem potęga szwedzka wobec takiej obrony; czem ludzka złość wobec takiego patronatu?...

Tu myśli w nim ustały i zmieniły się w uczucia same; zapomniał się, zapamiętał, przestał rozeznawać kim jest, gdzie jest... Zdawało mu się, że umarł, że dusza jego leci z głosami organów, miesza się z dymami kadzielnic; ręce, przywykłe do miecza i rozlewu krwi, wyciągnął do góry i klęczał w upojeniu, w zachwycie.

(Wyjątek z powieści
Henryka Sienkiewicza: Potop).

ROZSYPANKA

Ba — brus — chy — czerw — czes — czę — ćmo eg — grom — in — lę — li — lid — ne — o — or piec — pió — rzę — ro — śmiech — sy — sza — tyst wa — wie — zek — ży.

Z podanych zgłosek ułożyć 15 wyrazów. Początkowe i końcowe litery dadzą rozwiązanie.

1. Gra myśląca.
2. Szkodnik drzewny.
3. Ptaszę królewskie (napisać wspak).
4. Objaw wesołości.
5. Owad nocny w V-m przypadku.
6. Cienka tkanina.
7. Nakrycie stołu.
8. Inaczej: winszują.
9. Opłata szkolna (napisana wspak).
10. Przyrząd do pisania.
11. Kaleka.
12. Nabożeństwo.
13. Nazwa miesiąca.
14. Wyładowanie elektryczne.
15. Ochrona oka.

Rozwiązanie Rozsypanki nadsyłać można do 20 października b. r. pod adresem Gazety dla Kobiet, Poznań, Al. Marcinkowskiego 1. Wylosowane będą jako nagrody: 2 mszaliki rzymskie.

Pieniądz jest dobrym służącym, lecz złym panem.



Zatwierdzenie naszej odznaki

Dnia 4 sierpnia otrzymał Katolicki Związek Kobiet odpowiedź z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zatwierdzającą naszą odznakę organizacyjną.

Odpowiedź tę zamieszczamy poniżej:

MINISTERSTWO
SPRAW WEWNĘTRZNYCH
Nr. AP. 3 — 68

Warszawa dnia 17 czerwca 1936 r.

DECYZJA

Na podstawie art. I ust. (I) dekretu z dnia 2 października 1935 r. (Dz. U. R. P. Nr. 72, poz. 455) i § 2 rozporządzenia z dnia 15 listopada 1935 r. (Dz. U. R. P. Nr. 86, poz. 534) Ministerstwo Spraw Wewnętrznych udziela Katolickiemu Związkowi Kobiet (Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22. IV) pozwolenia na ustanowienie i używanie odznaki z białego metalu w kształcie stylizowanego krzyża, którego górne ramię jest zakończone literą „P", pozostałe zaś ramiona zakończone trzema ząbkami. Na poprzecznych ramionach krzyża napis „Pro Christo", na ramieniu dolnem napis: „Et Patria".

Odznaka może być używana:

1) jako odznaka Związku na szyldach, papierach i legitymacjach.

2) jako odznaka członkowska do noszenia przez wszystkich członków Związku na agrafce.

Za odznaki członkowskie Zarząd Związku pobierać może od członków jednolitą opłatę tytułem zwrotu kosztów, nie więcej jednak niż 60 gr.

Wydawanie odznaki Związku osobom, nie będącym jego członkami, jest zakazane.

Za DYREKTORA DEPARTAMENTU
(ADELSTEIN)
L. S. NACZELNIK WYDZIAŁU

SPOTKANIE Z MIŁOŚCIĄ

Jeszcze jeden świst lokomotywy, jeszcze widać z daleka białą rączkę Hanki machającej chusteczką, a nad nią rękę z kapeluszem — Henryka. Podbiegła parę kroków, ale zatrzymała się. — Była taka zmęczona! Do ócz napływały ciężkie, prawie sieroce, łzy. Przesłoniły jej zupełnie ginący już w oddali pociąg. Powiewa chusteczką, choć już nic nie widzi przez łzy, ale oni przecież łez nie zobaczą, ale widzieć jeszcze będą jej chustkę. Kiwa wciąż, wiatr szarpie chusteczkę, a dwie ciężkie łzy staczają się aż na bruk peronu. Wtedy ze wstydem spostrzegła, że pociągu już nie ma, a ona jeszcze żegna tych, co już odjechali. Ktoś spojrzał na nią z politowaniem. Chwyciła ten wzrok, całą siłą opanowała się, wytarła szybko zaczerwienione oczy, schowała chusteczkę i energicznym krokiem skierowała się ku wyjściu. Szła machinalnie, o mało co nie wpadła pod samochód, skręciła więc na planty, by być swobodniejszą. — Tu mało już było ludzi. Październikowe słońce chyliło się ku zachodowi, jesienny chłód wciskał się w każdą fałdę płaszcza. Kilka spóźnionych nianek z wózeczkami pospiesznie wracało do domu. Nikt na nią nie zwracał uwagi.

Usiadła na jednej z pustych ławek i choć chłód nadchodzącego wieczoru przejmował „do szpiku kości", ona nie czuła niczego. Było jej wszystko jedno, tak bardzo wszystko jedno. — Spuściła głowę i zatonęła we wspomnieniach.

Ślub i wesele Hanki, jej wyjazd przypomniał jej, jej własną młodość. Była jeszcze młodszą od Hanki, bo miała zaledwie lat osiemnaście gdy wychodziła za Karola. Mimo woli przyszło porównanie.

Promienna twarzyczka Hanki i jaśniejąca szczęściem twarz Henryka w obramowaniu okna wagonu, który ich unosi teraz daleko od Krakowa na dalekie Wschodnie Kresy. — Jakże się Hanka cieszyła na swój dom, że jedzie „na swoje", choć się tam u nich nie będzie przelewało.

— Jak oni się kochają! — Bolesne westchnienie wydarło się z jej piersi. — O nie pójdzie za nic do domu, pustego domu bez ostatniego jej złotego promyczka — Haneczki!

I znowu wraca fala wspomnień.

Ona tak nie kochała, za to robiła „dobrą partję" Karol był na stanowisku, był cenionym urzędnikiem na poczcie. Był niemłody, to prawda, ale matka mówiła, że to dobrze, „bo się już wyszumiał". Karol był dobry, przywiązała się do niego, ale właściwie nie wie czy była szczęśliwą. — Lubiła dom, dzieci. W rok po ślubie przyszedł Andrzej, w dwa — Haneczka, potem Irka. — Umarła. — Wtedy czuła się tak, jak dziś. — A potem lata wdowie. Nie było biedy. Karol zostawił zaoszczędzony kapitalik, dostała po nim emeryturę, tak że mogła wychować Andrzeja i Hankę. — Na zbytki nie było. Co się musiała naszyć przez te lata! Kuchnia i igła w ręku na zmianę.

Przetarła oczy. Nie, nie, to nie łzy, tak ją poprostu oczy bolą od haftowania po nocach wyprawy Hanczynej. Tyle niedospanych nocy! To pewno dlatego tak jej zimno. Wstrząsnęła się i wstała z ławki.

— Przecież trzeba się śpieszyć — przeszło jej przez myśl. — Ach prawda, już nie trzeba, oni wyjechali.

Skręciła w ulicę Szpitalną. Szła, mimo woli potrącając przechodniów.

— To ze zmęczenia — pomyślała — „i z bólu" szeptało serce.

Skręciła w kierunku kościoła Marjackiego. Nieraz wstępowała tu „na pacierz". Odmówiła różaniec i śpieszyła do domu. Na mszę św. chodzi a tylko w niedzielę.

Usiadła w bocznej nawie w ławce naprzeciw ołtarza z Ukrzyżowanym Zbawicielem, ale nie mogła się modlić. Siedziała tak może pół, może półtorej godziny. Nie modliła się, nie myślała nawet, tylko patrzyła, patrzyła na umęczoną twarz Jezusa. Spuszczała oczy i znowu patrzyła. W kościele zrobiło się ciemno, tylko kilkanaście świeczek zatkniętych stale przez pobożne ręce w dużym, jak taca lichtarzu, rzucały migotliwe światło na twarz konającego Zbawcy tak, że twarz ta zdawała się ożywać, przybierając kolejno wyraz wielkiego bólu, to znów jakiegoś smutnego i pełnego miłosierdzia uśmiechu.

Wzrok jej przeszedł na obraz „Bolesnej" u dołu.

— I ona cierpiała — o ile więcej cierpiała!

W myśli jej zarysowywał się wyraziście jeden jedyny wyraz: Matka!

Siedziała dotąd bezmyślnie, teraz jakby się w sercu zerwała jakaś tama i łzy popłynęły strumieniem. Nie zważała na nic, na nikogo. Płakała oczyma i sercem a z nią płakał ktoś jeszcze. Płakała z nią Maria u stóp umęczonego Jezusa.

Nie zauważyła jak kościół zapełniał się ludźmi. Zapalono świece na bocznym ołtarzu po przeciwnej stronie. Z chóru popłynęła fala dźwięków i cały kościół porwała za sobą.

„...Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas, Matko, nie opuszczaj nas! Matko pociesz, bo płaczemy..."

— Matko, Matko! — powtarzała w duszy i jakiś dziwny pokój spływał na jej samotne, zbolałe serce.

Cały kościół śpiewał i modlił się razem z kapłanem. Ona tego nie słyszała, nie widziała. Coś się działo w jej duszy, coś, czego zrozumieć nie mogła, ale i nie usiłowała. Przestała płakać, po smutku nadchodziła dziwna, nieznana i mocna radość. W pewnej chwili wydało jej się, że jest małą pięcioletnią dziewczynką, którą mamusia przyprowadziła „na paciorek" do kościoła. Trzydzieści pięć lat uciekło gdzieś z pamięci. Jest znowu małą, malutką dziewczynką. Mimo woli obróciła się szukając wzrokiem matki. Gdzie matka? — Wzrok jej poleciał ku ołtarzowi i spoczął na bolesnej twarzy Matki Bożej.

— Matka moja! — wyrwało się jej z piersi. Upadła na kolana i ukryła twarz w dłoniach. Czuła prawie namacalnie jak obejmują ją czyjeś przesłodkie, macierzyńskie ramiona. — Była tak szczęśliwą i oszołomioną, że bała się ruszyć. — Zbudziły ją dopiero głębokim, męskim głosem wymówione słowa. Był to już środek kazania, ale wpierw nic nie słyszała. Nie odrazu też uchwyciła treść tych słów. Ze swego miejsca nie widziała kaznodziei, dolatywał ją tylko ten silny i dźwięczny głos.

— Czy wy myślicie, że wystarczy wam tu się modlić, tu za mną powtarzać przepiękne słowa modlitwy Pańskiej — Ojcze nasz i Zdrowaś, prosić N. M. Pannę gorąco i serdecznie w kościele, a po powrocie do domów zapomnieć o Ojcu, który jest w niebiesiech, i o Matce waszej, którą pozdrawiacie tu wielekroć „Zdrowaś Mario"! Zostawiacie ich tu w kościele, a wracacie do interesów i zajęć, żyjąc tak, jakby ich nie było.

— Jak on dziwnie mówi! Ależ to prawda! Przecież ja całe życie tak przeżyłam: w kościele krótka modlitwa, a potem jakby Boga i Jej... mej Matki... nie było.

Poczuła naraz jak bardzo kocha Marię i że za nic od Niej odłączyć się nie chce.

— A tymczasem Bóg nie opuszcza was na chwilę. Jest z wami, co więcej, żyje w was. Gdziekolwiekbyście byli, cokolwiekbyście robili z Nim jesteście. Wystarczy wam więc jedną myślą zwrócić duszę ku Bogu, by być z Nim, by się znaleźć w objęciach najlepszej z matek. Czy jesteście tego świadomi bracia moi i siostry w Chrystusie? — Nie sądźcie, że macie być cały dzień na klęczkach. Tego Bóg ani wymaga, ani potrzebuje, ale wszystko co robicie czyńcie z Nim, w Nim i przez Niego. Smutek czy radość, pracę czy cierpienie — wszystko to dzielcie z waszym Ojcem najlepszym, z waszą Matką — radości i pocieszenia. — Dopiero co umilkły wasze głosy błagające Marię, by was nie opuszczała, niech to teraz powtórzą wasze serca...

Dalszych słów kapłana już nie słyszała, utonęła cała w modlitwie.

— Mario, teraz dopiero przejrzałam, u stóp krzyża Twego Syna... Tyś to do mej biednej duszy przemówiła przez usta kapłana. Oto ja dotąd jak ta Marta troszcząca się i zabiegana „około bardzo wiela" przechodziłam tylko obok Ciebie i Jezusa. Jezu, Jezu... a Tyś stale był ze mną!...

Serce jej zaczęła rozpalać ogromna, nieznana radość. Zdało się jej, że ktoś w jej sercu rozpalił czysty o niewidzialnym płomieniu ogień miłości przeogromnej, a równocześnie nie opuszczało jej uczucie tych obejmujących ją macierzyńskich ramion.

Czy to sen? — O nie, nie śniła, widziała wszystko: kościół, tłumy ludzi, ołtarz i siebie, ale z nią czy w niej coś się stało, coś wielkiego. — Zrozumiała — to cud się stał, cud zakryty przed oczyma ludzi i Bogu tylko wiadomy.

Odtąd się zacznie nowe życie — całe życie z Bogiem — Przyjacielem, którego obecność czuje całą duszą i z Matką — z Marią — z Nią i przez Nią.

— Tyle lat straconych! — przeszło jej przez głowę. — Przecież mam dopiero 40 lat. Jeszcze Ci to, Matko, wynagrodzę!

Kazanie się skończyło. Kościół pustoszał powoli. Podniosła się z ławki i wychodziła jedna z ostatnich.

Na ulicy zapalono już latarnie i zaczynał mrzyć drobny deszczyk, ale ona nie zwracała na to uwagi. Nie zdziwiłaby się gdyby teraz słońce zaświeciło, tak było jej radośnie.

— Pani Bronko, pani Bronko! Dokąd pani idzie taka uśmiechnięta? Cieszy się pani tak szczęściem Haneczki?

— Haneczki?! A tak, ona bardzo szczęśliwa... a pani też z kościoła?

— A jakże. Byłam na różańcu.

— I słyszała pani kazanie?

— No pewno. Ładnie ksiądz mówił.

— „Ładnie", to mało. On mówił prawdę, jedyną, nieznaną ludziom, prawdę.

— Co pani jest? Pani wygląda jak... wniebowzięta!

— Możliwe, pani Anko, bo jestem bliską nieba w tej chwili. Dziś zrozumiałam, że my wszyscy żyjemy tu jak ślepi, chodzimy jak z zawiązanemi oczyma.

Nam się wydaje, że tylko to prawdziwe czego możemy dotknąć, na co możemy spojrzeć, co możemy usłyszeć, a Ten, który jest stale w naszym sercu, jak pani słyszała, nie jestże Prawdą rzeczywistszą od wszystkiego co nas otacza? I cóż warte życie nasze, które przeżywamy bez Niego nie z Nim i nie z naszą Matką?

— Mówi pani... jak ksiądz... Jak pani to głęboko zrozumiała... ale tak... pani ma rację, my żyjemy jak ślepi... Niech się pani pomodli, żebym i ja przejrzała.

Bronka szła dalej sama, a przecież nie sama, piastując w sercu zrodzone nowe wielkie szczęście i szepcąc uśmiechniętymi usty: nowe życie — nowe życie.

Wydało się jej, że dziś pierwszy raz ma młode dziewczęce serce.

Była pod domem. Wbiegła wesoło na schody. W drzwiach czekała ją zafrasowana poczciwa ciotka Teofila.

— Myślałam, żeś gdzieś się na śmierć zapłakała za twą Hanią, Broneczko. Byłam już o ciebie niespokojna!

— Płakałam, ciociu, ale już jestem spokojna, a nawet bardzo, bardzo szczęśliwa.

— To zuch z ciebie, Bronko, ja cię też taką jeszcze nie widziałam.

— Bo mi jeszcze nigdy nie było tak dobrze, ciociu.

— No, chodź już, dziecko, na herbatę. Ciastek przyniosłam.

Zdejmowała z niej mokry płaszcz i kapelusz. Przez otwarte drzwi wpadła do przedpokoju smuga jasnego światła lampy oświecając dziwnie odmłodzoną twarz Bronki. Ciotka Teofila przyjrzała się jej uważnie przez okulary.

— Doprawdy, powiedziałabym, żeś chyba zaręczona.

— Ciocia sobie ze mnie żartuje... choć właściwie... dziś dopiero zrozumiałam co to jest miłość. No, ale pijmy tę herbatkę, ciociu!

Ciotka kręciła głową z niedowierzaniem.

— Nic nie rozumiem, nic nie rozumiem.

Twarz Bronki spoważniała nagle.

— To prawda, my czasem całe życie tego nie rozumiemy.

S. M.

TAK TRUDNO BYĆ POSŁUSZNĄ!

— Moja mamo — mówi 15-letnia Józia, — dlaczego mam być posłuszną? Czy nie jest ważniejszem ażebym była samodzielną? Miałaby mama ze mnie więcej pomocy.

— Dziecko drogie, nie ja cię mogę zwolnić od posłuszeństwa. Ono jest nakazane przez IV przykazanie, i obowiązuje nie tylko dzieci, ale i dorosłych. A powiedz mi, w czem posłuszeństwo przeszkadza samodzielności?

— W tem np., że mama mi nie dowierza, i nie pozwoli się opiekować na zabawie Julką i Stasiem, albo nie da się wyręczać w sprawunkach, albo wyjechać na wakacje do znajomych.

— Prawda to, moje dziecko. Dopiero wtedy, gdy będziesz mogła dać rodzicom dowody posłuszeństwa czynnego, a nie biernego, będziemy mogli ci powierzyć tak odpowiedzialne zadania jak te o których myślisz.

— A co mama nazywa: posłuszeństwem biernym i czynnym?

— A no, moja Józiu, w twoim wieku właśnie jest pora, żeby zrozumieć na czem polega istota posłuszeństwa. Ono powinno być nie tylko niewolniczym znoszeniem władzy rodziców, (jak mówią: autorytetu, czyli powagi rodziców), ale chętnym wykonywaniem ich woli, ich życzeń, dlatego że posłuszeństwo jest czemś dobrem samo w sobie.

Rozumne posłuszeństwo jest cechą człowieka oświeconego, który składa dar ze swojej woli, tak jak się ofiarowuje prezent osobie, którą się czci lub kocha.

Ten dar jest tak cenny, że go ludzie nie mogą żądać o ile nie mają władzy po temu.

Tylko ci ludzie, których Bóg naznaczył do sprawowania władzy, mają prawo żądać ofiary z woli ludzkiej.

Więc hołd z woli naszej składamy ostatecznie samemu Bogu. A gdy odmawiamy posłuszeństwa — buntujemy się przeciw woli samego Boga.

Dziecko póki jest małe, słucha rodziców z przyzwyczajenia i z przymusu.

Jest to może tylko, jak to mówią: tresura, ale to jest potrzebna tresura, bo nadaje fizyczne nawyknienie do słuchania, które jest wielkiem ułatwieniem w życiu.

Później natomiast, gdy syn lub córka zaczynają się kierować rozumowaniem, należy stopniowo im dać poznać przyczyny nakazów, ażeby rozwijać ich sąd o rzeczach i ich poczucie odpowiedzialności. Ale to nie zwalnia z poszanowania nakazów i praw.

— Moja mamo, mamy w szkole organizacje w których sami ustanawiamy nakazy przez głosowanie. Mamy tam więc już dosyć krępujących nas przepisów.

— Dziecko drogie, wasze organizacje mają być dla was przygotowaniem do życia obywatelskiego, ale one nie mogą zastąpić starszego prawa, jakiem jest prawo Boże, mianowicie IV przykazanie.

Ludzkie nakazy ulegają zmianom, z powodu doświadczeń, które ciągle czynimy, podwójnie więc powinniśmy cenić niezmienność przykazań Boskich, które wytrzymały 24 wieki, zawsze równie potrzebne i zawsze równie prawdziwe.

— Czy ja mogę słuchać, gdy widzę u tych co rozkazują, że używają swojej władzy na to, ażeby innych poniżać, żeby innym dokuczać, żeby okazywać swoją wielkość, żeby swoje kaprysy przeprowadzać...

— To się też czasem zdarza, ale nie tak często jak myślisz.

Zresztą ludzie nie byli inni niż teraz, wtedy gdy Bóg objawił swoje przykazania. Wiadomo mu było, że natrafimy na duże trudności gdy będziemy musieli spełnić jego przykazania.

Ale prawdziwa przeszkoda w słuchaniu jest dopiero w innym wypadku, mianowicie wtedy, gdy dzieci



dostają rozkaz czynienia wbrew sumieniu, jak np. popełnieniu kradzieży, dostarczaniu wódki, wyrządzaniu szkody, obrażaniu itp., a te wypadki są bardzo częste, niestety.

— Mamo, a czy wolno upokarzać tych, którym się rozkazuje?

— Nie, to nie należy do czynności nakazywania. Bóg nam daje przykład z jaką dobrocią mamy sprawować władzę, przez to, że do większości naszych zadań, przywiązał dużo zadowolenia i nawet przyjemności. To ma być zachętą i osłodzeniem trudu, jakiego wymaga praca i zdobycie wprawy w naszych powinnościach.

— Moja mamo, a jak namówić chorego Zdzisia żeby zażył lekarstwo? To chyba najtrudniejsza rzecz?

— Godzę się z tobą, że to nie łatwo. Ale może po naszej rozmowie, wynajdziesz sama sposób na to. W tym wypadku np. możesz okazać swoją samodzielność, moja Józiu droga.

Bronisława.

Pokój, zadowolenie nie minie twej strzechy,

Gdy się nie będziesz troszczyć o sąsiadów grzechy.

(Dalszy ciąg ze strony 106.)

Czy chory ma „gorączkę"?

Jednym z ważnych zabiegów jest mierzenie temperatury czyli ciepłoty albo jak pospolicie się mówi mierzenie gorączki. Mierzenie ciepłoty ciała służy do rozpoznawania chorób, a także do oceny czy choroba ustępuje czy się nasila. Zdawałoby się, że wystarczy mieć termometr to samo mierzenie nie jest trudne. I rzeczywiście, że mierzenie ciepłoty nie jest trudne, a jednak jakże często błędy w leczeniu chorego wynikają ze złego, niestarannego sposobu mierzenia temperatury. Żeby móc zmierzyć ciepłotę trzeba mieć termometr. **Najlepiej mieć własny,** jeżeli jednak nie mamy własnego, musimy pożyczyć od sąsiadów, albo z apteczki naszego stowarzyszenia, do którego należymy. Pożyczony termometr w domu, przed użyciem należy **wytrzeć okowitą,** gdyż można przez termometr przenieść chorobę. Następnie należy termometr **„strząsnąć"** t. z. trzeba go mocno ująć w prawą rękę i kilkakrotnie wstrząsnąć nim tak, by rtęć, która w rurce termometru podniosła się, opadła zupełnie na dół — do 35 stopni. Rtęć sama nie opada. Jeżeli termometr był pod pachą u chorego z wysoką temperaturą np. 39 stopni, i jeżeli teraz założymy ten termometr, bez uprzedniego strząsania, innemu, lżej choremu, to termometr będzie wskazywał 39 stopni. Widzimy więc jak łatwo mogą powstać pomyłki. Termometr zakładamy dorosłym pod pachę. Pachę trzeba **wytrzeć** ręcznikiem. Jeżeli założymy pod mokrą od potu pachę, będzie nam wskazywał fałszywą „gorączkę", gdyż od wilgoci termometr oziębił się. Zakładamy termometr dokładnie tak, aby **cały „srebrny" koniec był w dołku pachowym.** Często, nie chcąc „męczyć" chorego, zakłada ktoś termometr powierzchownie pod ręką no i naturalnie potem odczytuje zbyt niską, nieprawdziwą temperaturę, co może nieraz w błąd wprowadzić lekarza. Gdy chory jest nieprzytomny, senny, albo osłabiony, musimy przez cały czas mierzenia temperatury trzymać choremu rękę, przyciśniętą do boku, żeby termometr nie wysunął się i nie wypadł. Podobnie musimy przytrzymać termometr pod pachą u dzieci. Małe dzieci nie umieją same utrzymać termometru, a dzieci starsze często wyjmują go z pod pachy, żeby zobaczyć, „czy już dużo naciągnęło", co naturalnie przeszkadza prawidłowemu zmierzeniu temperatury. **Po 10 minutach** odczytujemy temperaturę i **zapisujemy.** Zdawałoby się, że w domu, gdzie jest tylko jeden chory nie potrzeba prowadzić „karty gorączkowej", że przecież można łatwo zapamiętać te proste liczby. Ale jak to jest z tym zapamiętywaniem? Gdy lekarz zapyta o temperatury z ubiegłego dnia, okazuje się, że rano mierzyła matka, w południe mierzyła sama chora, a wieczorem mierzyła sąsiadka. I teraz zaczyna się przypominanie tych „kresek", bo stopni było 38, ale te kreseczki zupełnie się pokręciły: czy 2 kreski były z rana, a 8 wieczorem czy odwrotnie, trudno teraz sobie przypomnieć, a na złość do głowy przychodzą jeszcze kreski z dzisiejszego dnia... Naturalnie, że lekarz z tego nic nie może wziąć pod uwagę, i takie mierzenie to tylko strata czasu osoby pielęgnującej i niepotrzebny trud chorego. Każdorazowo, **rano, w południe i wieczorem** codziennie o tej samej godzinie, odrazu po zmierzeniu temperatury trzeba ją **zapisać** na specjalnie do tego przygotowanej kartce. Taka kartka to nie tylko dla lekarza ważna wskazówka o stanie chorego, ale i dla opieki domowej **jasny obraz przebiegu choroby.** Po zapisaniu temperatury znowuż trzeba termometr strząsnąć i schować, jeżeli jest pożyczony należy go **wytrzeć okowitą** i oddać. Są chorzy, którym się wydaje, że powinni sobie co godzinę mierzyć temperaturę, że termometr zepsuty, bo wskazuje za nisko itd. Takim chorym trzeba stanowczo **zabierać termometr** po każdorazowym zmierzeniu gorączki, gdyż przesadny niepokój o zdrowie czyni ich jeszcze bardziej chorymi.

Okłady.

Drugim z kolei zabiegiem, który zalecają często lekarze, a który także w leczeniu domowym jest prawie w codziennym użyciu — to okłady. Okłady stosujemy najczęściej w celu suchego lub wilgotnego nagrzania chorego miejsca, poza tym czasami kładziemy okład chłodzący jak np. na miejsce stłuczenia lub sińca, w razie krwotoku z nosa albo z płuc, w wypadkach niektórych obrzęków itd. Zrobienie dobrego okładu czyli kompresu nie jest rzeczą łatwą a tylko dobrze zrobiony okład jest skuteczny. Owinięcie szyi mokrą chusteczką do nosa, jak krawatem jest nie tylko śmieszne, ale może choremu zaszkodzić. Do okładu można użyć waty, ligniny (waty drzewnej), miękkiego ręcznika albo flaneli. Okład musi być tak duży, żeby osłaniał całe chore miejsce i gruby przynajmniej na pół palca. Z czego robimy okłady? Najczęściej z wody „pokojowej" to znaczy z wody nieco cieplejszej niż studzienna i wodociągowa. Również często stosujemy do okładów octan glinkowy czyli płyn Burowa (kwaśna woda), w szklance letniej wody rozpuszczamy łyżkę stołową octanu glinkowego, jeżeli lekarz nie zalecił innej proporcji. Okłady alkoholowe robimy z 50% okowity, nie wolno do okładów używać denaturatu czyli alkoholu skażonego. Zmoczywszy watę czy flanelę, trzeba ją następnie dobrze wycisnąć, żeby z okładu nie lała się woda i nie moczyła bielizny i pościeli choremu. Na chore miejsce kładziemy mokry okład, a na to ceratkę, tak dużą, żeby zakrywała całą mokrą flanelę i dopiero w końcu okrywamy okład suchą watą, flanelą czy miękkim wełnianym szalem, i przymocowujemy go opaskami (bandażami) albo ręcznikami, dość mocno, żeby się nie zesunął z chorego miejsca. Taki okład powinien trzymać wilgoć i ciepło przez 4 do 6 godzin. Jeżeli zalecone są okłady wysychające (często stosowane przy bólu gardła) robimy je tak samo, ale nie używamy ceratki. Po zdjęciu wilgotnego okładu trzeba chorego wytrzeć suchym, miękkim ręcznikiem.

Lekarka.

KUCHNIA BEZ MIĘSA

O racjonalnym gotowaniu ryżu. Ryż to produkt pożywny i łatwo strawny. Ryż używa się do sporządzania kleików, do gotowania na sypko. Ryż ugotowany na sypko może być podawany z sosem, wymieszany z resztkami mięsa.

Ryż przed gotowaniem wypłukać kilkakrotnie w zimnej wodzie. Gotując ryż dla chorych — parzymy go kilka razy wrzącą wodą celem usunięcia różnych chemikalij za pomocą których nadają ryżowi ładny połysk i kolor.

Przy gotowaniu ryżu „na kleisto" po dokładnym wypłukaniu i sparzeniu zalewamy ryż zimną wodą, dodając trochę soli i masła, ciągle mieszając gotuje się aż do rozklejenia.

Ryż na sypko. Po opłukaniu zimną wodą i sparzeniu zalać wrzątkiem, tak żeby woda była 2 cm ponad warstwą ryżu, włożyć kawałek masła, osolić, zamieszać, gotować na płycie 10 minut — następnie przykryć szczelnie dopasowaną pokrywą i prużyć w piecyku aż do miękkości.

Drugi sposób gotowania ryżu na sypko jest następujący: Ryż przygotowany, jak wyżej, zalać dużą ilością osolonej, gorącej wody, tak, żeby ziarnka swo-

bodnie pływały i gotować aż do miękkości. Następnie odcedzić, przelać ryż zimną wodą, 2 razy bardzo gorącą, dokładnie osączyć i zaraz wydawać.

Zapiekanka z ryżu, z jabłkami. Wypłukać ryż, wziąć dwa razy tyle mleka ile ryżu, (mierzyć przed płukaniem) i wrzucić ryż na gotujące mleko z dodatkiem cukru. Opłukać i obrać jabłka, pokrajać w plasterki i usmażyć w garnku z cukrem i bez dodatku wody. Formę wysmarować soją i wysypać tartą bułką. Gdy ryż już miękki a mleko wygotowane, wówczas wypiec ryż w piecu pod pokrywką, żeby był sypki. Ryż w formie polać trochę sokiem z marmelady a następnie kłaść warstwami, raz marmeladę, raz ryż, aż wszystko wyjdzie. Ostatnia warstwa musi być ryżu. Po wyjęciu z pieca, gdzie musi stać godzinę, wyjąć z formy i posypać cukrem z wanilią.

Zapiekanka z kartofli i jaj.
1½ kg kartofli, cebula.
5 jaj, 2 dkg grzybków suszonych.
4 dkg masła, ⅛ l. śmietany.
6 dkg smalcu, pieprz, sól.

Kartofle ugotować w łupinach, obrać, pokrajać w plastry.

Jaja ugotować na twardo, również pokrajać w plastry. Grzybki suszone namoczyć, ugotować, drobniutko posiekać.

Cebulę pokrajać w kosteczkę i zasmażyć na jasnożółty kolor.

Rondel wysmarować masłem, ułożyć, warstwę kartofli, na to jajka, posypać grzybkami i cebulką, osolić, dodać pieprzu, położyć w kilku kawałkach tłuszcz lub polać śmietaną.

Znowu układamy warstwę kartofli i jaj, tyle rzędów, aż rondel się wypełni. Przykryć kartoflami, zalać śmietaną, wstawić do pieca na 1 godzinę.

Budyń z ziemniaków. Obrane ziemniaki ugotować w całości. Gdy miękkie przecisnąć przez maszynkę. Tymczasem utrzeć odpowiednią ilość masła na śmietanę (na 1 kg. ziemniaków ¼ funt. masła), dodać ziemniaki i dobrze wymieszać. Następnie wbić 2—3 żółtka, posolić do smaku, popieprzyć i wlać łyżkę wazową śmietanki lub mleka. Można dodać koperku lub zielonej pietruszki. To wszystko dobrze wymieszać. Wkońcu ubić pianę z 3 białek i połączyć lekko z ziemniakami. Masę włożyć do formy budyniowej, wysmarowanej tłuszczem i wysypanej tartą bułeczką. Formę przedtem dobrze wyparzyć. Napełnioną budyniem do ¾, formę szczelnie zamknąć i włożywszy do garnka z gotującą się wodą, gotować pod przykryciem 1 godzinę. Budyń ten podaje się z bardzo ostrym sosem chrzanowym.

Pieczywo domowe.

Solanki. Zrobić rozczyn z 10 gramów młodzi i 9 gramów soli oraz ¼ litra wody. Mąki dodać do gęstości i dobrze wybić. Zostawić na dwie godziny do wyrośnięcia. Ciasto odważyć po 1 ft i z każdego funta zrobić 10 równych kawałków. Każdy kawałek rozwałkować w formie dużego języka, omączyć i zwinąć zaczynając od szerszej strony. Ułożyć na blachy wysmarowane tłuszczem i postawić w cieple na 20 minut, żeby rosły a potem posmarować 2 razy zimną wodą i posypać solą z kminkiem. Piec w ciągu 8—10 minut.

Bułki słodkie. ¼ litra mleka, 20 gramów drożdży, 2 jajka lub 3 żółtka, 70 gramów cukru, 70 gramów tłuszczu (połowę masła i połowę smalcu), 5 gramów soli, mąki do gęstości. Zrobić rozczyn z letniego mleka, cukru, drożdży i odrobiny mąki i poddać rośnięciu. Przez ten czas utrzeć żółtka z cukrem do białości. Gdy rozczyn wyrośnie, dodać mąki do gęstości odpowiedniej; wlać jajka, resztę cukru, soli i wyrobić ciasto. Pod koniec dodać rozpuszczony tłuszcz i ciasto wybijać. Gdy już gładkie, przykryć i postawić do wyrośnięcia. Potem formować bułki, rogalki, ślimaki, strucelki i t. d. Postawić do wyrośnięcia, a potem posmarować jajkiem i piec 7—8 minut w gorącym piecu.

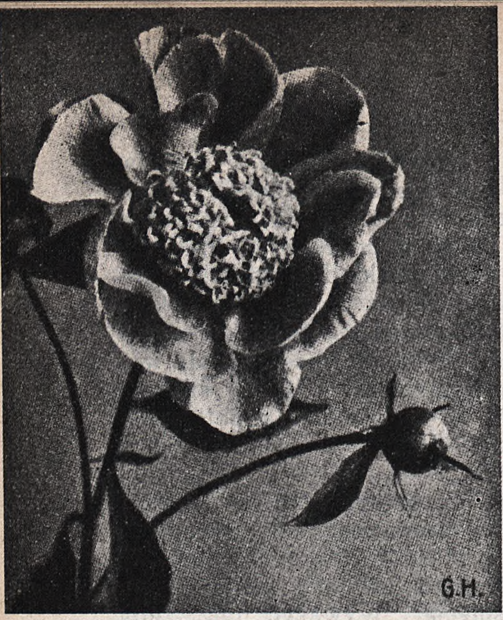
Bułki półsłodkie. Zrobić rozczyn z 10 gr. drożdży, 8 gramów soli i 12 gramów cukru oraz ¼ litra ciepłego mleka. Dodać mąki do gęstości i 15 gramów tłuszczu roztopionego. Wybić bardzo silnie i zostawić na 1½—2 godz. do wyrośnięcia. Wyważyć tak, żeby z każdego funta było 10 bułek i formować różnego kształtu bułeczki, otaczając w mące. Gotowe ułożyć na blasze wysmarowanej tłuszczem i zostawić na 20 minut do wyrośnięcia. Przed pieczeniem posmarować wodą i posypać makiem. Piec 5—7 minut.

Kto pracował w lecie,
temu powie wrzesień:
ciesz się, gospodarzu,
tłusta będzie jesień.

Wielka dla ziemi i zboża wygoda,
gdy w święty Idzi przyświeca pogoda.

Maria się rodzi,
jaskółka odchodzi.

Gdy noc jasna na Michała,
to nastąpi zima trwała.



Piwonia pojedyncza

O bylinach.

Miłymi i niezbyt kłopotliwymi ozdobami naszych ogrodów są kwiaty zimotrwałe, tak zwane **byliny**. Są to rośliny kwiatowe, których korzenie lub pędy podziemne mają własność puszczania corocznie nowych pędów. Zaleta ta czyni je pożądanymi w naszych ogrodach nie tylko z przyczyn wyżej wymienionych, ale i ze względów oszczędnościowych, gdyż kwietniki z nich założone wymagają tylko jednorazowego wydatku, tym bardziej że mając np. jedną bylinę możemy ją co roku rozmnażać przez dzielenie korzeni lub pędów.

Każda ziemia ogrodowa, dostatecznie pulchna nadaje się na te rośliny zimotrwałe. Ziemia zbyt spoista i ciężka wymaga domieszki piasku, zaś do ziem zbyt lekkich dodajemy dobrej ziemi kompostowej.

Ziemię pod byliny należy więc odpowiednio przyprawić i wzruszyć do głębokości 70 — 75 cm, usuwając równocześnie wszystkie kamienie i korzenie trwałych chwastów. Taka uprawa ziemi ma dla bylin wielkie znaczenie, gdyż po pierwsze powoduje bujny wzrost roślin, a po drugie ułatwia regularny przepływ wody, zachowując w ziemi równocześnie pewien zasób wilgoci, potrzebnej roślinom na czas długotrwałych nieraz upałów i suszy.

Obfite nawożenie jest bardzo dobre na bujny wzrost przeważnej części bylin — można to też zastąpić polewając w maju gnojówką rozcieńczoną na pół z wodą. Na ziemie lżejsze dawać lepiej nawóz bydlęcy — na ziemie cięższe, nawóz koński — obydwa dobrze przegniłe. Można też dać ziemi kompostowej.

Sadzenie bylin uskuteczniamy jesienią lub wiosną. Na ziemiach zbyt mokrych lepsze sadzenie wiosenne. Przy sadzeniu należy umiejętnie i ostrożnie rozsypać ziemię naokoło korzeni, unikając przy tym zakopania szyjki roślin, przy czym oblewa się takowe obficie. W razie suszy należy dalej podlewać, dopóki rośliny się nie przyjmą. Dalsza pielęgnacja bylin polega na motyczkowaniu ziemi między niemi, usuwaniu chwastów i podlewaniu w czasie suszy. Z chwilą, gdy kwitnienie się rozpoczęło należy usuwać kwiaty przekwitłe, by się nie wysilały. Na wiosnę ziemię między bylinami wzruszyć, czasem dodając nieco nawozu przegniłego lub kompostu, by przez lata ziemia się zbytnio nie wyjałowiła.

Rozróżniamy dwa gatunki bylin.

Pierwszy gatunek to takie byliny, co raz posadzone zawsze na zimę zostają w ziemi i można ich korzenie dzielić chcąc rozmnażać. Do tej grupy bylin należą np. **Irysy, Solidago** czyli Nawłoć, wysoka roślina o kwiatach żółtych, **Rudbeckia** czyli Rotacznica też o kwiatach żółtych, wyrasta do 2 mtr wysoko, **maki** duże, **Piwonie, Orliki, Astry zimotrwałe** czyli Gwiazdosze, **Płomyki** czyli Phloxy. Jest ich wiele więcej jeszcze, ale o te gatunki najłatwiej możemy się postarać.

Drugi gatunek to byliny, których korzenie lub cebulki w jesieni przed nastaniem mrozów wyciągamy ze ziemi, nieco osuszamy, by dobrze z ziemi się oczyściły i dopiero z wiosną, gdy ziemia nieco się ogrzeje znowu sadzimy. W zimie zaś przechowujemy je w miejscu chłodnym i ciemnym. Do tej grupy należą: **Dalie** czyli Georginie, **Gladiolusy** czyli Mieczyki i wiele innych.



Rudbeckia Ruśniatka Rotacznica

Dalie też możemy rozmnażać przez dzielenie — a Gladiole to cebulki, które co roku utworzą małe cebuleczki, które sadzimy znowu z wiosną. Na jesieni wyjmujemy a tak po 2 — 3 latach z małych robią się coraz większe cebulki i coraz piękniej kwitną.

Gazeta dostaje miłe listy.

L. 11/36 *Chropaczów, 15. IV. 1936 r.*

Katol. Stow. Kobiet
Oddział w Chropaczowie

Do
Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet
w Poznaniu.

Za przesłane okazowe egzemplarze „Gazety dla Kobiet" uprzejmie dziękujemy. Członkinie nasze zapoznawszy się z czasopismem zgłosiły chęć abonowania go z tym jednakże, że naraz nie mogą uiścić prenumeraty na cały rok tylko regularnie miesięcznie składać będą po 15 gr.

Zaznaczyć musimy, że większość naszych członkiń reprezentuje się ze sfer bezrobotnych i wszystkie bardzo pragną mieć w ręce dobrą gazetę dla kobiet, tak, że w większości składały się na te 15 gr 3 członkinie razem, a Oddział jest dopiero co założony i nie ma żadnych funduszów na pomoc.

Prosimy więc bardzo o uwzględnienie tych wyjątkowo ciężkich u nas warunków i wyrażenie zgody, by nasz Oddział mógł przesyłać prenumeratę miesięcznie po 15 gr za egzemplarz.

W nadziei, że prośba nasza będzie przychylnie załatwiona przesyłamy równocześnie czekiem kwotę 7,95 zł na 53 egz. „G. dla K." (za maj 53 $\times$ 15 = 7,95 zł), które po wyjściu z druku prosimy przesłać na adres: Anna Białkowa — Chropaczów, ul. Kopalni 5.

Łączymy wyrazy poważania.

Sekretarka: *Prezeska:*
Anna Białkowa. *Jadwiga Trojokowa.*

Abonament roczny dla członków K. S. K. pojedyńczo wraz z przesyłką pocztową . . . . 2.00 zł. Telefon nr. 15-27

Abonament roczny dla członków K. S. K. przez oddział (grupowo) zł 1.80 Konto P. K. O. 200 368

Wydawca: Katolicki Związek Kobiet w Poznaniu. Za redakcję: Zofia Sicińska i Janina Kaźmierska. Adres redakcji: Gazeta dla Kobiet, Poznań, Aleje Marcinkowskiego 1. — Tłoczono w Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu, na papierze z własnej fabryki „Malta".